

Utrzymuję Bestię na chodzie, trzymam pod ręką zapas niskoolowiowej setki, przewiduję ataki. Nie jestem za stary, nie jestem za młody. Dawniej niewiele rzeczy lubiłem bardziej niż łowić pstrągi.

Na imię mi Hig, jedno imię. Duży Hig, jeżeli potrzebujesz dwóch.

Jeśli obudziłem się kiedyś z płaczem w środku nocy, a nie mówię, że tak było, to dlatego że pstrągi zniknęły co do sztuki. Źródlane, tęczowe, potokowe, trocie, łososie Clarka, co do sztuki.

Odszedł tygrys, słoń, małpy człekokształtne, pawian, gepard. Sikorka, fregata, pelikan (indyjski), synogarlica (turecka), pływacz. Przykre, ale. Nie płakałem, dopóki ostatni pstrąg nie odpłynął w górę rzeki w poszukiwaniu być może chłodniejszej wody.

Melissa, moja żona, była starą hipiską. Nie taką znowu starą. Dobrze wyglądała. W tej historii mogła być Ewą, ale ze mnie żaden Adam. Bliżej mi do Kaina. Nie mieli takiego brata jak ja.

Czytasz czasem Biblię? Po prostu siadasz i czytasz jak zwykłą książkę? Przejrzyj Lamentacje. Jesteśmy na tym etapie, w zasadzie. W zasadzie to lamentujemy. W zasadzie to rozpaczamy nad własnym losem.

Mówili, że na koniec po ociepleniu robi się zimniej. Dużo zimniej. Na razie nic z tego. Staruszka ziemia jest pełna niespodzianek, jedna duża niespodzianka za drugą nawet zanim porzuciła księżyc, który krąży i krąży jak partner ustrzelonej gęsi.

Nie ma już gęsi. Kilka. Poprzedniego roku w październiku usłyszałem po zmroku znane okrzyki i zobaczyłem je, pięć na tle chłodnego, zmytego krwią błękitu nad krawędzią dachu. Pięć przez całą jesień, tak mi się wydaje, później w kwietniu żadnej.

Kiedy nie ma słońca, ręcznie pompuję niskoolowiową benzynę lotniczą ze starej lotniskowej cysterny a jest jeszcze cysterna, która dostarczała paliwo. Więcej paliwa, niż Bestia wypali za mojego życia, jeśli ograniczę się do lokalnych wypadów, a tak ma być, tak musi być. To mały samolot, cessna 182, rocznik 1956, istne cacko. Niebiesko-kremowa. Podejrzewam, że umrę, zanim Bestia wyda ostatnie tchnienie. Kupię tę farmę. Osiemdziesiąt akrów łąk i pół kukurydzy w miejscu, gdzie z liliowych gór wciąż wypływa zimny strumień pełen pstrągów.

We wcześniej będę robił swoje rundy. Tam i z powrotem.

Mam sąsiada. Jednego. Tylko nas dwóch na małym wiejskim lotnisku kilka mil od gór. Teren szkoleniowy z domami dla ludzi, którzy nie zasnąłiby z dala od swoich samolocików, jak golfiści, którzy mieszkają na polach golfowych. Bangley to imię z dowodu rejestracyjnego jego starego pikapa, który już nie jeździ. Bruce Bangley. Wyłowiłem go ze schowka, szukając miernika ciśnienia opon, który mógłbym zabrać na Bestię. Adres w Wheat Ridge. Ale nie nazywam go tak, bo i po co, jest nas tu tylko dwóch. Tylko my dwaj w promieniu przynajmniej ośmiu mil, czyli na otwartej prerii dzielącej nas od pierwszych zarośli jałowców u podnóża góry. Mówię po prostu: Hej. Nad jałowcami rosną dęby a wyżej czarne drzewa. A właściwie brązowe. Ogołocone przez chruszczę i uschnięte. Stoją teraz martwe, kołyszac się jak armia szkieletów, wzdychając jak armia duchów, ale nie wszystkie. Zdarzają się kępy zielonych drzew, którym kibicuję ze wszystkich sił. Zagrzewam je do walki tu, na płaskowyżu. Dalej Dalej Dalej Wyżej Wyżej Wyżej! To nasza pieśń bojowa. Skanduję ją przez okno, przelatując nisko ponad nimi. Zielone kępy z roku na rok są coraz większe. Życie przetrwa, wystarczy mu odrobina zachęty. Mógłbym przysiąc, że mnie słyszą. Machają w odpowiedzi, machają w przód i w tył pierzastymi ramionami spuszczoneymi wzdłuż pni, przypominają mi kobiety w kimonach. Kroczyki małe albo żadne, falujcie falujcie opuszczonymi dłońmi.

Wspinam się tam, kiedy tylko mogę. Do zieleńszej części lasu. Zabawnie to brzmi: nie muszę przecież zmieniać żadnych planów. Idę tam oddychać. Innym powietrzem. To niebezpieczne, to przyptyw adrenaliny, bez którego mógłbym się obejść. Widziałem ślad łosia. Nie taki stary. O ile są tu jeszcze łosie. Zdaniem Bangleya, nie ma mowy. Jest mowa, ale. Nigdy żadnego nie widziałem. Za to mnóstwo jeleni. Biorę trzysta ósemkę, zabijam łanię i targam ją z powrotem w kadłubie kajaka. Odpiliowałem wierzch, więc teraz to sanie. Moje zielone sanie. Jelenie zostały, tak jak króliki i szczury. Nadal rośnie trawa, najwyraźniej to wystarcza.

Zanim tam pójde, robię dwa kursy Bestią. Jeden w dzień, jeden w nocy w goglach. W goglach całkiem nieźle widać między drzewami, o ile nie są zbyt gęste. Ludzie wyglądają jak pulsujące zielone cienie, nawet gdy śpią. Lepsze to niż wcale nie sprawdzić. Potem robię pętlę na południe i wschód, wracam od północy. Trzydzieści mil, przynajmniej dzień drogi dla koczownika. Wszędzie otwarta przestrzeń, wszędzie równiny, szałwia i trawa i krzewy i stare farmy. Brązowe kręgi pól niczym odciski kuli inwalidzkiej płowiejące na prerii. Żywopłoty i wiatrochrony, połowa drzew połamana, powalona, kilka wciąż zielonych nad wysiękiem lub wzdłuż strumienia. Potem mówię Bangleyowi.

Dwie godziny ciągnę puste sanie przez osiem mil prerii, później jestem kryty. Jeszcze mogę się ruszać. Ale czeka mnie długi powrót z łanią. Przez odkryty teren. Bangley osłania mnie od połowy drogi. Wciąż jeszcze mamy krótkofalówki, które udaje się naładować, używając paneli. Japońska konstrukcja, na szczęście. Bangley rozstawił karabin snajperski cheytac kaliber .408 na własnoręcznie zbudowanej platformie. I dalmierz. Taki fart. Fanatyk broni. Naprawdę wredny fanatyk broni. Twierdzi, że potrafi zabić człowieka z odległości mili. Już to robił. Widziałem nieraz. Zeszłego lata zastrzelił dziewczynę, która goniła mnie na otwartej

przestrzeni. Młoda dziewczyna, chucherko. Usłyszałem wystrzał, zatrzymałem się, zostawiłem sanie i zawróciłem. Odrzuciło ją na skałę. Zamiast talii miała dziurę, rozerwało ją niemal na pół. Oddychała ciężko, dysząc z wykręconą na bok głową. Czarne, lśniące oko patrzyło na mnie bez strachu, tylko pytająco, natarczywie, jakby ze wszystkich rzeczy, jakie widziało, ta jedna była nie do wiary. Właśnie tak. Bo kurwa dlaczego?

O to samo zapytałem Bangleya, kurwa dlaczego.

Mogła cię dogonić.

To co? Ja miałem broń, ona mały nożyk. Pewnie dla ochrony przede mną. Może potrzebowała jedzenia.

Może. Może poderznąłaby ci gardło w środku nocy.

Wpatrywałem się w niego, myśli poniosły go gdzieś daleko, gdzie środek nocy, ja i ona. Jezu. Mój jedyny sąsiad. Co mam powiedzieć Bangleyowi? Wiele razy ratował mi skórę. Ratowanie mi skóry to jego praca. Ja mam samolot, więc patrzę, on ma broń, więc strzela. Wie, że ja wiem, że on wie: on nie potrafi latać, ja nie mam serca do zabijania. Inaczej pewnie ostałby się tylko jeden z nas. Albo żaden.

Jest ze mną jeszcze Jasper, syn Daisy, a to najlepszy system wczesnego ostrzegania.

Więc kiedy znudzą nam się króliki i rybki ze stawu, idę po jelenia. Najbardziej chcę po prostu tam pójść. To uświęcone, chłodne miejsce, jak kościół. Martwy las rozkołysany szeptami, zielony las pełen westchnień. Piżmowy zapach legowisk jeleni. Strumienie, w których zawsze wypatruję pstrągów. Jednej młodej rybki. Jednego starego, dorodnego niedobitka, którego zielony cień zamajaczy na tle zielonych cieni skał.

Osiem mil odkrytego terenu do podnóża gór, pierwszych drzew. Nasze pogranicze. Strefa b e z p i e c z e ń s t w a . Z a t o o d p o w i a d a m .